

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 17 kwietnia 1909 r.

№ 16.

Wacław Gąsiorowski.

## EMILIA PLATER.

6

Powieść historyczna.

Grużewski widział już czarne wstążki unoszącego się nad wodą kapelusika, zdołał dostrzedz nawet promień złotopopielatych włosów. Jeszcze chwila, jeszcze jeden wysiłek, a sięgnie ręką, pociągnie ją za sobą, ocali z toni.

Grużewski nacisnął gniadosza. Gniadosz aż łbem wyrzucił. Pewno by z angielem się zrównał, gdy nagle stanął w miejscu, a w zamian wszystko wokół zaczęło płynąć. Więc nie tylko angiel, lecz i zarosła nad wodą i brzeg, i drzewa, i chaty. Grużewski tylko jeden z gniadoszem swoim stał w miejscu, zresztą uciekało, płynęło wszystko...

Jakiś dźwięczny głos rozległ się woddali.

Grużewski uczył, że siodło pod nim się zapada, że koń coraz gwałtowniej chrapie, coraz trudniej oddycha, że tonie...

Grużewski w oka mgnieniu usunął się z siodła i zaczął płynąć tuż przy gniadoszu. Ten, zbywszy się ciężaru, nowych sił nabrał.

Brzeg był tuż prawie, już badydle sitowia wyciągnął przyjaźnie, już najdogodniejsze miejsce do wylądowania wskazywał.

Byle sitowia dosięgnąć, byle

oparcie znaleźć, a wyratuje ją, musi wyratować.

Gniadosz nagle rzucił się, jak szalony, wodę skotłował i szarpnął się ku górze.

Grużewski zachłysnął się, wyciągnął rękę, aby konia się chwycić, lecz wtóry snop wody zalał go, a tępe uderzenie kopyt ubezwładniło mu ramię i zepchnęło w głębie.

### II.

Zachód płonął, gorzał blaskami odchodzącego słońca i hen, z sinych mgieł widnokregu, z poza grzebieni lasów, z poza falistego garbu Dąbgóry, krwawymi smugami ku niebu tryskał.

I smugi krwawe podobłoczem szły w dal, szły nad Ilłuksztą, nad kobiercami nadrzecznych łąk, zapaliły modrosrebrną wstęgę Dżwiny, rozlały się ponad wyniosłością przeciwległego jej brzegu, odbiły się w białych murach liksnańskiego pałacu i jęły płynąć a ogarniać wierzchołki lip, dębów parkowych.

Park liksnański zachmurzył się, gąszcze swe zwarł, mocniej korony drzew splótł i po czające się w krzaczki mroki sięgnął. Mroki wypełzły skwapliwie i zaczęły gasić barwy, zacierać kształty, najprzedziwniej ułożone kłomby zle-

wać w szare, jednostajne zawały, pierwsze całuny nocy zaścielać.

Park ciszą i pustką spłynął. Krwawe smugi podniebiskie w żalobne przystroili się fiolety.

Świerszcz-samotnik ocknął się, poruszył skrzydełkami i ćwierkaniem próbował głuszę przerwać, lecz umilkł.

Cisza znów zaległa. Aż naraz, z ponad żywopłotu, okalającego park liksnański, od strony pola, zerwał się żwawy wietrzyk, wpadł w szeroką aleję, szarpnął zeszlęmi liśćmi, pomiołł je przed sobą i porzucił w miejscu, kędy na kamiennej ławce widniała ciemna postać kobiety.

Postać, na widok liści, pochyliła się ku nim przyjaźnie, wyciągnęła przed się trzymaną w rękę laskę i zaczęła przebierać nią między liśćmi, w szeleście ich przebrzmiałych może szukając odzewów.

Sędziwy jawor, rosnący tuż przy ławce, który do snu o dawnym panie swym, Świątyborze, się układał, zaszumiał przeciągle. Jodły zawtórzyły jaworowi, i bukom i grabom żale swe podały.

Park zakolysał się i jęknął smutnie. Snadź w ostrym podmuchu boreasza gońca jesieni rozznał, znać nad mogiłą lata bolał,

bo szaty swe dał i tumanami liści zeschniętych i gałązek rzucał w mroki nocy.

Złowrogi poświst wiatru targnął drzewami i zaskowyczał.

Park zaszamotał się groźnie. Teraz już nie o skardze myślał, nie o bólu, lecz o walce, o odporze. I park liksnański czynił, jak ten, co, w obliczu wroga do zapasów się gotując śmiertelnych, zbywa się wszystkiego, co mu jest zawadą, brzemieniem, co mu swobodę ruchu więzi, co łatwą przeciwnikowi może być zdobyczą. I park zdierał z siebie i liście, i gałęzie, co słabsze, i obumarłe witki, i młode pędy, nie dość zawzięte w rdzeniu, i pęki spóźnionego kwiecica, osmyczał zarosła, zrywał szyszki, całego bogactwa się wyrzekał, byle pnie swoje prastare ocalić, byle konary zachować, byle swe soki rozrodzce w ziemi skryć i nowej wiosny doczekać.

Park liksnański nie bez kozery w poczcie swoich dębów-senatorów takich dygnitarzów miał, co komturom krzyżackim cieniu swego użyczali, a jagiellońskich oglądali rycerzów. Park liksnański wiele przetrwał okrutnych zawieruch, wiele srogich burz, wiele twardych zim. Stąd miał ci nieraz spustoszenia ciężkie, szcerby dotkliwe, ale z tych spustoszeń, z tych szcerb siła eksperyencji powzięła. Park liksnański wiedział, że na nawałnice, na huragany najsmadniej poniechać troski o zwierchni dobytek, a korzeniami w ziemię się wpić i ziemi tej rodzonej się trzymać.

Tej zbawczej strategii park liksnański nauczył się wówczas, kiedy mu się nie rościło, że go parkiem zwać będą i że mu w pobliżu, miast drewnianego dworu, pałac wystymurują.

Bo tak. Kiedy jeszcze w Liksnie władał tęgi ród Wolffów z Ludyngshauzu, którzy, z krzyżactwem rozbrat wzięwszy, najzaciejszymi obywatelami Rzeczypospolitej się stali, park był sobie skrawkiem boru. Dopiero kiedy Liksnę objął imć pan graf z Wislingu, Józefat Zyberg, wojewoda inflancki, a w dziedzictwie swoim ład i wspianiałość magnacką roztaczał, bacząc, aby

każdemu z synów i córek siedzibę piękną zostawić, wówczas w Liksnie Panu Bogu zbudował kościół, dzieciom pałac, a pałacowi ze skrawka boru park wyszukał. Lecz że przy tej przemianie stara brać boru cała i zdrowo wyszła, tedy i park, choć z pozoru nowomodny, wykretasami ścieżek przerywany, altanami usiany, owdzie przystrzyżony, był niby jak imć pan wojewoda inflancki, który, choć kontusza zaniechał, a przecież pod żabotami, pod kamizelą srebrzystą toż samo zacne serce, co i rodzic, imć pan krajczy, nosił.

Wiatr tymczasem ani myślał folgować i parł od północy i z dzikiem wyciem hulał po ciemni parkowej.

Wtem w głębi alei, wiodącej do ławki kamiennej, pod jaworem, rozległ się odgłos ociężałych, lecz gorączkowych kroków. Jakaś przysadzista sylwetka mignęła się w mroku i potoczyła ku ławce, a tuż dał się słyszeć piskliwy, drżący głos:

— Wielmożna pani! De gdzie? de jeszcze się przeziebiwszy! De przecież wichura! Niech wielmożna pani podkomorzyna...

— Ach, to ty!—odrzekła cicho postać, siedząca na ławce.

— De jakże! A marszałek powiadał, że wielmożna pani musi u siebie na pokojach! Szala tureckiego przyniosła. Niech wielmożna pani już pozwoli!.. O, tak i tak...

— Dziękuję ci, moja Kiermuszyńska. Zadumałam się i zeszło.

— A tu noc, noc wielmożna pani podkomorzyno, i jesień.

— Prawda, prawda i nie od dziś, nie od dziś. Pomóż mi się wesprzeć. Czas wracać.

Kiermuszyńska ujęła podkomorzynę pod ramię i powiodła ostrożnie ku furcie parkowej.

Przez chwilę w alei, śród zawodzenia wichru, słyhać jeno było powolnie szuranie z trudem wleczonych nóg i tępy, energiczny stukot laski.

Tuż przed furtą podkomorzyna przystanąła.

— Daj, niech wytchnę. Czekaj, pójdziesz na górę, do Emilki, i powiesz...

— De panna grafianka jeszcze nie wróciwszy.

— Jakto, jakto!—zaniepokoiła się podkomorzyna.

— De musi do Szlosbergu zajechawszy, bo do promu ani się docisnąć; strach, co luda z jarmarku...

— Toż nie może być; powiadała, że jeno do Iłłukszty dojedzie. Trzeba wysłać konnego natychmiast.

— Właśnie, proszę wielmożnej pani, marszałek chciał...

— Chciał, chciał! Czemu mnie nie prowadzisz? Dalej, dalej! Noc, ziąb, wichura. Boże ją strzeż od złej przygody! Który masztalerz pojechał z panną hrabianką?

— De któryżby, proszę wielmożnej pani podkomorzyny, któryż!—pisała żałośnie Kiermuszyńska.—De niktóry za panną hrabianką nie ujedzie!..

— Znów lada co prawisz!

— De wielmożna pani...

— Cicho bądź!—przerwała surowo pani podkomorzyna i, zważając postukując laską, ku pałacowi podążyła.

Tu, od samego proga, na głowę starego marszałka dworu spadł grad krzyżowych zapytań i ostrych napomnień.

Marszałek chylił siwą czuprynę, sumitował się, że już przed godziną wysłał strzelca do Iłłukszty, zapewniał, że panna hrabianka niezawodnie u przeprawy wyczekać musiała,—lecz tyle ledwie wymową swą dokazał, że pani podkomorzyna odwróciła się odeń i do komnaty swej ulubionej narożnej odeszła.

Marszałkowi aż oczy poczerwieniały na taką niełaskawość pani podkomorzyny. Bo i czemu zawinił, czem na wymówki zasłużył? Wszak ci on sam nieba by pannie hrabiance przychylić pragnął. A ileż razy drżał, trwożył się o nią, gdy, mimo zakłęk i przedłożeń, co niesforniejszego dosiadała wierzchowca i rwała na przełaj przez rowy i jary. A ileż razy przed panią podkomorzyną na pannę hrabiankę spiski knuł, byle w hancach ją umitygować, a jakowąś mniej bezpieczną wyprawę udaremnić. I cóż, nigdy niczego nie dokazał, bo panna hrabianka zawsze na swoim po-

stawiła. A gdy potem z tego niepokój wynikł, to nadobitek marszałek nadewszystko reprimandę odbierał.

Stęknął stary marszałek z żalości i podreptał wołać na sługi, masztalerzów, a o co należało, czy nie należało, fukać.

Pani podkomorzyna tymczasem już ani próbowała winić marszałka; niepokój jej ku niej samej się zwrócił.

Tak, nikt, nikt inny, tylko ona sama jest sprawczynią udręki, ona, i tylko ona. Jej słabość, jej powolność na amazońskie upodobania Emilki—przyczyną wszystkiego złego. Trzeba temu kres położyć. Biedna Anusia w grobie spokoju nie ma, na widok, że w Emilce znów zawadyactwo się odzywa, znów dziwna pasya do siodła, do strzelby wraca.

Prawda, trudno na Emilkę się gniewać, niepodobna, lecz należy wpłynąć, należy nakłonić. Imusi, musi ją nakłonić do zaprzestania tych wypraw samotrzeć. Bo żeby choć

zdrowia zadość miała! Zresztą nie przystoi nawet. Niejeden gotów się zrazić do panny.

W tem miejscu w umyśle pani podkomorzyny przedstawił się zawily, ale znakomity plan okiełzania Emilki przy pomocy niezawodnej Gasparów z Antuzowa, Maryni Mohłówny i Michałów szlosberskich. Plan tak świetny, iż, ledwie pani podkomorzyna spostrzegła się, że i Adamów krasławskich na sukurs możnaby wezwać, Emilka już się przeistoczyła, już była taką, taką, jak wszystkie jej rówieśnice... Lecz, co osobliwsze, pani podkomorzyna, miał ucieszyć się przemianie, zatęskniła równocześnie do dawnej Emilki, do tej niepoprawnej, i jęła ją coprędzej odtwarzać.

I przypomniła ją sobie złotowłosą dzieciną, do kolan Anusi przytuloną, pytającą daremnie o swego ojczyka. Nikt jej tego nie uczył, każdy strzegł się wspominać Ksawerego przy Emilce, a przecież pamiętała o nim długo, długo... Aż gdy nieszczęsnej Anusi raz mocy

zabrakło i łzami odpowiedziała na pytanie dzieciny, małeństwo już odąd nigdy wobec matki nie mówiła o swym ojczyku. Nie rozumiała jeszcze, nie pojmowała, a już przeczuła, już odgadła. A ileż w chwilach rozterki matczynej umiała okazać miłości! Poważna była i cicha nad wiek. Swywole, zabawy z rówieśnikami nie nęciły jej. Do książki przyłgnęła odrazu. A za ulubionego towarzysza wybrała sobie pocziwego Muraszkę. Ani wyrozumieć, czem bez ręki żołniersko Emilkę sobie zaczarował. Bez Muraszki nie pojmowała żadnej rozrywki. Z nim w lecie sypała szanice, ustawiała armaty, z nim ciągle rozprawiała o bitwach, o potrzebach, o wojnach. Niestosownem było to upodobanie w dziewczęctwie, lecz dla jej wątłego zdrowia zbawczem, ile że bez Muraszki nie można było skłonić Emilki do biegania, do krzepienia sił oddechem łąk i lasów.

DCN.

Włodz. Perzyński.

## W GABINECIE.

Kiedy hrabia Olek wszedł do gabinetu, całe towarzystwo było już napół pijane. Władka z głośnym śmiechem rzuciła mu się na szyję i wbiła w usta tak namiętnym pocałunkiem, że mu aż tłu zbrakło. Zniecierpliwiony w pierwszej chwili, chciał ją odepchnąć, ale momentalnie zapanował nad sobą i nawet objął ją wpół.

— Ma pan hrabia szczęście—parsknął z kąta ironicznym śmiechem młody Stern.

Stern kochał się we Władce i był o nią szalenie zazdrosny. Wstyd mu jednak było przyznać się do tego, i zdenerwowanie, jakie go ogarniało zawsze, ilekroć widział Władkę w czymś uścisku, starał się maskować sztucznym, krzykliwym humorem. Zazdrość sprawiała mu niewysłowiony ból. Aby go zgłuszyć, przymuszał się do picia i poił wszystkich winem. W ogóle sam pił mało i podczas kolacji niepostrzeżenie wylewał kieliszki, gdyż był chorowity i obawiał się o swoje zdrowie.

— Jeszcze raz się pocałujcie — krzyknął, widząc, że hrabia Olek wypuszcza Władkę z objęcia.

— Władka gra komedye, żeby w panu zazdrość wzbudzić.

Wzruszył pogardliwie ramionami.

— We mnie zazdrość!

Hrabia Olek popchnął zlekka ku niemu Władkę.

— Pocałujcie się!

— Nie... nie... nie... Ja wolę pić. O, pan hrabia stoi tuż koło dzwonka, może pan zadzwoni... przepraszam bardzo.

Gdy Władka zbliżyła się ku niemu, odepchnął ją brutalnie.

— A daj mi spokój. Zmęczony jestem.

Ale gdy ona, nie zważając na to, pochyliła się nad nim i przytykając prawie usta do jego ust, szepnęła: „Głupi dzieciak“, twarz mu się rozjaśniła. Władka zmęczona usiadła na kanapie i oparła nogi na jego kolanach. Chciał jej powiedzieć: „Jedźmy do domu“, ale się bał, że parsknie śmiechem i powtórzy to wszystkim głośno.

Hrabia Olek siedział teraz przy stole, odwrócony do nich bokiem. Z ożywieniem opowiadał o jakimś pojedynku. Sterna dolatywały urwane zdania.

— W ten sposób absolutnie postępować nie można. Więc powiedziałem, albo ci panowie...

Inni słuchali go uważnie. W najzawilszych sprawach honorowych opinia

brabiego Olka była ostateczną i decydującą, niby wyrok senatu. Musieli to uznać wszyscy, nawet ci, którzy dopytywali się ironicznie, z czego hrabia Olek żyje, skoro wiadomem było, że wszystko, co miał, dawno stracił.

Stern, aby pokryć zdenerwowanie, udawał znów śmiertelnie zmęczonego, przyglądał mu się z jakimś dziwnym uczuciem w duszy, którego nigdy by nie potrafił być określić. Było to prawie uwielbienie. Już nie przeczuwał, ale wiedział, że Władka zdradza go codziennie, że jest kochanką hrabiego Olka, nie dla tego, że się po pijanemu całowała z nim w gabinecie. Drobne fakty, błyskawiczne spostrzeżenia, kojarzyły mu się w mózgu w szereg myśli, który był rozwijał ze stalową logiką, jak zadanie matematyczne. Wyobrażał sobie, że Władka, która, kokietując go z obowiązku, usiadła na chwilę przy nim, musi cierpieć tak samo, jak i on.

— Czekaj—odsunął ją od siebie i podniósł się z krzesła.

— Co?

— Zmęczony jestem, pojedę już do domu...

— Ale siedź pan — odezwał się nagle hrabia Olek, odwracając się ku niemu. Kto słyszał wracać o tej porze...

Bawimy się wszyscy jak najlepiej—i on chce uciekać.

— Skoro zmęczony — odezwał się ktoś.

— Ale, niema zmęczenia!

Stern, niezdecydowany, usiadł przy stole. Ubodło go to „skoro zmęczony”. Czuł się trochę nieswojo w tem towarzystwie przeważnie wiejskiej młodzieży, w które go hrabia Olek wprowadził. Czasami bunt się w nim zrywał: „Po co ja się z tą hołotą zadaję, jeden głupszy od drugiego...”. Ale wszyscy byli dawni znajomi Władki i Władka bardzo ich lubiała...

Siedział najwprost dużego lustra w złożonych ramach, które całe tak było poryte podpisami, że wyglądało jakby nasmarowane mydłem. Tylko pośrodku ocalała niebieskawa smuga. I Stern widział w niej swoją twarz, karykaturalnie wydłużoną. I tak się sam sobie wydał w tej chwili śmieszniejszym, że się nie mógł powstrzymać od śmiechu.

A, mordaa...

Spocone włosy rzadkimi kosmykami poprzyklepiały mu się do czoła. Twarz na długiej cienkiej szyjce nabrała jakiegoś żalostnego, płasiego wyrazu.

A hrabia Olek znów przysunął się do Władki i znów szeptał coś ze sobą po cichu.

— Umawiają się na jutro.

Wizya rozkoszy, jakie będzie przeżywała Władka, zamroziła mu umysł. Zdawało mu się przez chwilę, że wszystko dookoła zaczęło się łagodnie kołysać. Stracił był prawie przytomność. Otrzeźwił go hałaśliwy dźwięk pianina. Jeden z mężczyzn wystukiwał, myśląc się co chwila, melodyę popularnej piosenki, a Władka przyspieszywała pijanym głosem:

„Żeby moje skrzyпки grały.”

Stern, na którego nikt nie zwracał uwagi, podszedł do okna, uchylił je i wyrzwał na ogród. Owionął go wilgotny orzeźwiający chłód. Woddali ponad ciemną gęstwiną drzew złocista się rudawa luna wschodzącego księżyca. Niebo po całodziennym deszczu poczyniło się już przecierać trochę, tu i owdzie wśród chmur świeciły gwiazdy.

Przyszło mu na myśl, że do pokoju plynie chłód, i Władka, która była rozgrzana, może się przeziębici. Cofnął się szybko i zatrzaskał okno.

Władka przestała śpiewać. Wszystkich ociążyło chwilowe zmęczenie i gwar przychłód. Władka zlała na talerz z kilku kieliszków resztki likieru i, zapaliwszy je, zmęczonem, bezmyślnym spojrzeniem wpatrywała się w niebieskawy płomień. Z sąsiedniego pokoju dolatywały przez ścianę przytłumione dźwięki mandolin.

Hrabia Olek podniósł się z kanapy i ociężałym krokiem wyszedł z gabinetu. Na korytarzu zatrzymał się przed lustrem, obciągnął kamizelkę, machinalnie poprawił włosy i zeszedł na dół do bufetowej sali. We drzwiach spotkał się z wysokim, tęgim blondynem w smokingu. Obejrzał się pospiesznie i niedbale podał mu końce palców.

— Dobry dziś wieczór — nieprawda? — odezwał się po francusku.

— *Pas mal, pas mal...* — odparł francuz, układając fioletowe bezkrwiste wargi do mechanicznego uśmiechu.

I dorzucił poufąłym tonem.

— *Ca marche toujours?*

Hrabia Olek udał, że nie dosłyszał pytania. W sali bufetowej pusto było zupełnie, tylko za długim kontuarem, zastawionym butelkami i talerzami, na których leżały przekąski, siedział przy niewielkim stolczku gospodarz, szczupły, drobny, z czarną brodką i świdrującymi oczami ajenta policyjnego. Czytał gazetę. Przed nim na stole stała niedopita szklanka herbaty z cytryną. U drugiego końca kontuaru drzemała na krześle tęga, rozlana blondyna, z włosami, umalowanymi na jasno-złoty kolor.

Hrabia Olek pochylił się nad kontuarem.

— Wiecznie zaczytany.

Gospodarz zerwał się pospiesznie.

— Moje uszanowanie panu hrabiemu — odparł, wspinając się na palcach, żeby mu podać rękę.

— Ładny rachuneczek dziś się zrobi, co?

— Dziś — westchnął gospodarz.

— Dziś — oburzył się hrabia Olek. A onegdaj, a w niedzielę, a w zeszły piątek! Ile dziś wypadnie...

— Z osiemdziesiąt rubli.

— Daj no pan na rachunek dwadzieścia pięć.

— Panie hrabio!

— W przyszłym tygodniu Wiś przyjeżdża do Warszawy. Takich parę zabaw u pana urzędze, że się wszystko odrazu wyrówna!

— Kiedy to się wyrówna!.

Hrabia Olek zmierzył gospodarza przeciąglem, zdziwionem spojrzeniem.

— O, pan hrabia zaraz się obraża... W interesie, to, jak na spowiedzi, wszystko trzeba powiedzieć.

Obaj milczeli przez chwilę. Hrabia Olek wyprostował się, na twarz wystąpiły mu rumieńce, nerwowo bębnił palcami po kontuarze.

— Skoro panu hrabiemu tak bardzo potrzebne... no, to dobrze — zamruczał zrećnie gospodarz, ale teraz to już poczekamy, dopóki się nie wyrówna.

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć — przerwał niecierpliwie.

— Nie dla tego, żebym się obawiał, tylko... słowo honoru daję, nie mogę.

Hrabia Olek niedbałym ruchem wsunął banknot do bocznej kieszeni od kamizelki, wydał policzki, szukając w myśli frazesu, który wypadło mu jeszcze powiedzieć.

— Tak — mruknął.

I uśmiechając się sztucznie, dorzucił.

— Zobaczy pan, że dziś jeszcze pójdzie parę butelek.

— Ależ ja wiem, że tak, jak pan hrabia, nikt nie potrafi zaaranżować zabawy.

Odwrócił się i wyszedł na korytarz. Był wściekły. Bydłę — mruknął przez zaciśnięte zęby. Świerbiła go ręka, kiedy tam stał przed kontuarem,

żeby chwycić jaką butelkę i rozbić ją o tę głupią, płaską gębę. Czuł, że zaczyna być źle, skoro taki gospodarz śmiał się z nim targować. Ale był bezsilny. Gdyby tamten słówko szeptał o procentach, jakie mu od kolacji wypłaca, hrabia Olek byłby zgubiony.

Dotychczas nikt jeszcze nie mu nie mógł zarzucić. Łatwiej tylko, bez porównania łatwiej zawierał znajomości. Ale wśród piekielnie powikłanych sytuacji swego życia musiał jeszcze lawirować tak zrećnie, że wciąż się utrzymywał na poziomie dobrej opinii. Potrafił, pożyczwszy kilkaset rubli, oddać kilkadziesiąt z takim gestem, że to się utrzymywało w pamięci wszystkich.

Rozmowa z gospodarzem zdenerwowała go. Nie miał chęci wracać do gabinetu. Zatrzymał się przed lustrem i zaczął przewiązywać krawatę. Zły był, że obiecał jeszcze w bufecie kilka butelek szampana. Chciał słowa dotrzymać, bo mu zależało na dobrych stosunkach z właścicielem restauracji, a czuł, że to będzie trudno. Zabawa się dziś nie kleiła, przeciągał ją sztucznie.

Stern jeszcze postawi.

Do innych nie wypadało mu się przymawiać.

Gdy wszedł do gabinetu, Stern stał z Władką na uboczu i po cichu o czemś rozmawiali. Władka powoli naciągnęła już rękawiczki.

— Nie, kochanie, pomyślał, uśmiechając się złośliwie. Nie wymkniesz mi się!..

I podszedł do nich.

Stern spojrział na niego z niechęcią. Od kilku chwil wymyślał sobie w głębi duszy od szaleńców i głupców. Zrozumiał nagle, że to wszystko, co mu się zdawało, było tylko urojonem przywidzeniem, atakiem paranoi. Ostatecznie śmieszne było z jego strony wymagać, aby Władka zachowywała się, jak sentymentalna i rozkochana panna z towarzystwa.

Gdy ujrzał przed sobą hrabiego Olka, znów uczuł dręczący, nieokreślony niepokój.

— Cóż to? chcesz już uciekać — odezwał się hrabia Olek do Władki.

— Nudni dziś jesteście.

— Bo nikt nic nie pije.

— Dość na dzisiaj — mruknął Stern.

Hrabia Olek przysunął się do nich tak, że stanął pomiędzy nim a Władką. Wiedział, że jest na Sterna niezawodny sposób: obudzić w nim zazdrość. Naiwny i marzyielski Stern, komedią, którą z takim przejęciem wciąż odgrywał, potrafił oszukiwać siebie samego tylko. Hrabia Olek znał doskonale jego uczucia i wiedział, jak je wyzyskiwać.

Ujął Władkę pod rękę i pociągnął ją do stołu.

— Choć, Władziu, napijemy się kawy. Nie będzie pan zazdrosny? — zwrócił się do Sterna.

Stern wykrzywił pogardliwie usta.

— Nie...

Wyprostował się i drzącymi trochę palcami zapinał marynarkę. Postanowił w tej chwili jechać do domu,

a z Władką raz na zawsze zerwać. Wydało mu się to tak prostym, że doznał przelotnego wielkiego wrażenia ulgi. Z wesołym uśmiechem zbliżył się do stołu.

Władka siedziała pomiędzy dwoma mężczyznami. Gdy Stern podszedł, hrabia Olek objął ją za szyję, przyciągnął ku sobie i głośno pocałował w usta. Stern drgnął, tchu mu zbrakło w piersiach, sam nie wiedział, co się z nim stało. W gabinecie momentalnie zapanowała przykra cisza.

Trwało to mgnienie oka. Hrabia Olek nigdy nie tracił przytomności i umiał orientować się błyskawicznie.

— Stern jest prawdziwy europejczyk... Wypijmy na „ty“—krzyknął, wyciągając ku niemu rękę z kieliszkiem.

Stern poczerwieniał. Pośpiesznie nadstawił swój kieliszek.

— Wszak już niema — mruknął, oszołomiony tym niespodziewanym dowodem przyjaźni.

I odwrócił się do dzwonka.

— Sprowadźcie włochów — zapiszczala Władka.

Służący schylając się, jak automat, rozlewał wino w kieliszki. Wszyscy,

podnieceni na nowo po chwilowym wyczerpaniu nerwów, zaczęli naraz głośno mówić. Stern, którego znów udało się zasugerować myślą, że prawdziwy *viveur* nie powinien być zazdrosny, zwrócił się do hrabiego Olka.

— Cóżes ty tak osowiał?

Rzeczywiście, hrabia Olek, najwelszszy człowiek w towarzystwie, stracił nagle humor. Siedział zamyślony i posępny.

— Zmęczony jestem, niech pan na mnie nie zwraca uwagi.

— Jakto „pan“?

— Prawda, przepraszam. Nie zwracaj na mnie uwagi, — poprawił się powoli, dobitnie wymawiając wyrazy.

Pochylił głowę i, obracając kieliszek w palcach, drobnymi łykami pił wino. Pałacy wstyd żarł mu duszę. Przeciągnął strunę. Nie mógł się narażać na zajście ze Sternem, bo był mu winien zbyt dużo pieniędzy.—Par-szywiec — myślał, nerwowo gryząc usta—i taki jeszcze będzie zazdrosny.

Stern usiadł przy nim.

— Głowa cię boli?—dopytywał się troskliwie.

Nic mu nie odpowiedział.

— Olku... — bełkotał Stern.

Hrabia Olek zerwał się nagle z krzesła i wybiegł z gabinetu. Dość już miał zabawy i towarzystwa Sterna. Postanowił, nie żegnając się z nikim, wracać do domu. Jaknajprędzej położyć się do łóżka i zasnąć, żeby sen zatarał bolesne uczucie niesmaku, jakim napełniło mu duszę to nowe poniżenie. Będzie teraz ze Sternem na „ty“. Stern będzie mu mówił: Olku... I to stało się przy wszystkich, i widzieli, że nie był zupełnie pijany... Pochwylił parę ironicznych spojrzeń...

Ale trudno... Jeszcze chwila, ćwierć sekundy—i pijany Stern byłby się rzucał na niego... Musiał sparować uderzenie. I zamiast dać żydziakowi w pysk...

Na dworze świt już wstawał. Kilkunastoletni obdarty wyrostek zabiegł mu drogę przed werendą restauracyi.

— Dorożka dla jaśnie pana hrabiego?

Hrabia Olek syknął przez zęby ordynarne przekleństwo—i z całej siły uderzył chłopca w twarz.

de Larmandie.

## PRÓBA WSKRZESZENIA.

2

### II.

Wielki kuglarz i czarnoksiężnik, Edgar Poe, w swych poematach wróżebnych, przepojony fantazją upiorną i zachciankami pogrobowymi, Edgar Poe, matematyk Ideału, geometra otchłani, dał początek dziełu, które podejmujemy—dał, oczywiście, w imaginacyi. U tego atoli genialnego wizyonera wyobraźnia była zwiastowaniem: *Ligeia i Morella, Cień, Portret owalny, Przygoda p. Waldemara* osobliwie, to wstrząsające wydarzenia, które badać będą w klinikach przyszłości, wskazują, iż w pokuszeniach na wskrzeszenie zmarłych niema nic chimerycznego, jeżeli słowo „chimeryczny“ bierze się w znaczeniu zwykłym i znaczy „nieziszczalne“. Posłuchaj mnie dobrze, Chesedzie: fizycznie, chemicznie, z dwu stanowisk: fizyologicznego i psychologicznego, pokuszenie nasze jest rozsądne; powtarzam to i nastaję na to: niema przepaści bezwzględnej, któraby oddzielała śmierć od życia, te dwa światy różne łączącego istnienia; dwie te odmiany bytowe sąsiadują ze sobą; jest między nimi tylko, wyrażając się algebraicznie, zagadnienie granic, pochodnych, rachunku różniczkowego. Mamy tu do czynienia z równaniem biologicznem. Bądź całkiem prze-

konany, że niewiadoma zostanie wyprowadzoną, funkcyą zawartą rozwiązaną. Zastosujemy wszystką wiedzę, jaką Najwyższemu podobało się nas obdarzyć, wszystkie tradycye gnostyckie, któreśmy otrzymali, jak prawdziwe skarby. Już wszystko gotowe. Nie chciałem w rzeczy, w której rozumiem twe wzruszenie, wkładać na cię trud i niepokój przygotowań licznych i drobiazgowych. Poza tą zasłoną czerwoną, której dół dotyka czarnego całuna, okrywającego trumnę, kilka przyrządów odpowiednich czeka na użytek, jaki wnet z nich zrobimy. Znajdziesz tam:

Wielką kadź z wodą, ogrzaną do 36°;

Stół specjalny, przysposobiony do zupełnego systemu wzbudzeń elektrycznych;

Kilka bardzo mocnych środków podniecających, które są zdolne podrażnić ciało i pobudzić gwałtownie nerwy powonienia;

Cały zasób rurek, przeznaczonych do skąpania pacyenta całą prawdziwą falą promieni katodalnych; przyrząd mikroskopowy o ogromnej sile zwiększania, który da nam możność śledzić postęp naszych usiłowań;

System bloków do zawieszania ciała;

Łóżko wreszcie wygodne do

wykonania pasów magnetycznych, które dokonają naszej czynności czysto naturalnej przez powołanie pomocniczych sił astralnych.

A teraz wypijmy po parę lampek tego nektaru, dla dodania sobie kurażu i mocy.

Rzekłszy to, alchemik wziął kryształowe naczynie i nalał do kubków wina wonnego, które wyciągnął z głębi spiżarni magicznej. Mistrz i uczeń pili, zwolna, poważnie. Chesed był bardzo poruszony; Yesod, zimny i stanowczy, po kilku chwilach tak mówił dalej:

— Będziemy rozmiękczały ciało w wodzie letniej, aż dopóki, ile można, nie zmniejszyśmy jego trupiej sztywności. To działanie wstępne jest niezbędne. W tej pierwszej próbie nie stwierdzimy cudownych wielce rezultatów. Potem będziemy silnie elektryzowali. Użyjemy zamiast synapizmów trzy lub cztery krople kwasu siarczanego skoncentrowanego. Paru oparzelizn wart chyba powrót do życia. Do nozdrzy przyłożymy flakon z bromem. Widzisz już naprzód skutek, jeżeliś wachał wypadkiem tego straszego brata przyrodniego chloru i jodu. Potem ucieknijmy się do promieni Roentgena. Powołamy do służby mikroskop elektro-słoneczny; ja będę magnetyzował, ty będziesz obser-

wował; wtedy zobaczymy powoli, niedostrzegalnie, powracające do członków to życie, które niedawno jeszcze odbiegło.

Otwórzmy trumnę. Do góry wieko.

Chesed zrobił gwałtowny wysięk. Usunął przykrywę. Ukazała się martwa.

Bardzo martwa, bardzo blada, bez krwi, tragicznie piękna w swej nieruchomej sztywności, w swej zimnej zsiniałości.

Chesed ujrzał ją i upuścił wieko, które uderzyło o posadzkę z złowrobnym hałasem.

— Ach! — wyrzekł uczeń.

— Niezręczny! — podjął Yesod. — Jak można! — Ho! — jednak kobieta, wspaniałe stworzenie! Trzeba ją teraz obnażyć z tych wszystkich osłon, by przenieść nasamprzód do kąpieli.

Chesed patrzył na ciało Netzah, jak by patrzył na wielką kłodę wywroconą, którą mu pan jego kazał dźwignąć. Yesod pochylił się, wziął trupa w pół, postawił go na sztywne nogi i trzymał w tem położeniu nie bez wielkiego natężenia wszystkich swych mięśni.

Netzah została zanurzona do kadzi z wodą letnią.

— Uważaj! — począł Yesod — oprzyj głowę o krawędź. Byłoby rzeczą niepożądaną, żebyśmy ją na początek utopili.

Chesed zastosował się do rozkazu.

— Teraz — ciągnął dalej ezoterysta — włosy te będą dla nas zawadą niemałą... trzeba obciąć ten płaszcz wspaniały. Wiem o tem, będziesz jeszcze prawil o profanacyi. Przyznasz mi jednak, że jeżeli ciura żywy wart więcej, niż cesarz umarły, łyska mówiąca i chodząca będzie chyba więcej warta od właścicielki pogrzebanej boskiej szewelury.

...W parę chwil potem, pod cięciem powolnym i niezgrabnym Cheseda, włosy martwej opadły.

Yesod zebrał starannie resztki i schował do wielkiej koperty wszystko — aż do ostatniego szczątka.

### III.

Upłynęło pół godziny.

Cisza grobowa zapanowała w laboratorium hermetysty.

Naraz Yesod zawołał:

— Ciało, rozmiękczone przez wodę letnią, najwidoczniej zelżało; wszystko w porządku. Należy je teraz osuszyć, ubrać przyzwocie i wtedy przystąpić do zabiegów elektrycznych.

W kilka minut potem ciało Netzah spoczywało na stole galwanicznym. Chesed drżał, jak pod chłostą wiatru mroźnego, mimo to

krople wielkie potu — co prawda zimnego — toczyły się po drgających rysach jego twarzy.

Yesod był niezmacony.

Nieustraszonść jego przerwała zaledwie kilka uśmiechów, które ucznia jego, pomimo całego wytężenia władz do panowania nad sobą, przejęły przerażeniem.

— Elektrody na miejsce! — polecił głośno. — Puszczaj prąd!

Chesed wykonał rozkaz — i lekkie drgawki przeszły trupa; wargi, nozdrza, powieki uległy kurczeniu; mięśnie zygmatyczne poczęły się poruszać.

— To straszne! — wyszeptał asystent.

— Bynajmniej — odrzekł Yesod. Pani Netzah kokietyryjnie zaświadcza nam, że ma zęby wspaniałe; obacz, jaka to białość tych klawiszyków z kości słoniowej, jaki rząd bez zarzutu, jaka prawidłowość prześlizna! Czy widzisz, młodzieńcze? Całość bardzo mało uszkodzona. Dusza może jeszcze powrócić, by korzystać z tej siedziby; ściany jeszcze nie bardzo zsaletrzone, tynk nie bardzo poobłukiwany. Dostyc na teraz... Zawiemy elektryczność.

Chesed przerwał prąd.

— Teraz przystąpimy — ciągnął Yesod — do pasów magnetycznych. Zrobisz swoje w dziale fizyki. Teraz ja pocznę swoje w dziale hyperfizyki; przenieśmy piękną Netzah na łożo wypoczynku, którem przygotował tak okazale na jej cześć.

I Yesod ruchem szybkim porwał trupa na ręce i uniósł na wysokość lica.

Następnie złożył go na kanapę.

Potem ruchami wolnymi i przepisaniami sprawował w milczeniu projekcję swego fluidu. Po upływie pięciu minut pot kroplisty począł mu spływać po twarzy.

— Oczywiście, to niełatwe — rzekł. — Sukces za to będzie godniejszy. Dusza, prawie całkiem odłączona, jest, jak igła stalowa, która z wolna oddala się przy najbliższym spadku powierzchni nachylonej. Dwie moje ręce są — jak para magnesów, które starają się ściągnąć ją do początku i które nieznacznie, lecz istotnie, ściągają ją.

W końcu dzieła obaczysz małe widowisko niepraktykowane, które będziesz mógł polecić amatorom zmor nocnych. Nuże, ściągnij mi te kółka i te bloki, zgromadzone u góry, u stropu tego łożka. Wystarczy tknąć mały guzik stalowy.

Chesed spełnił rozkaz.

— Dobrze. Teraz przewlec koła przez ramiona Netzah, ujmij trzon cylindra windy, który w tyle

kotary... zrób pięć czy sześć obrotów, a głównie nie miej lęku.

Uczeń zastosował się do wskazówek — i trup został zawieszony pod pachy, nogi jego ledwie muskały okrycia łoża spoczynku.

Głowa ostrzyżona zwiśla załownie.

— Bardzo dobrze — mruknął Yesod. — Zastosuj teraz niezwłocznie system promieni Roentgena. Postaw ekran. Nastaw aparat mikroskopiczny i bądź gotów do patrzenia.

Chesed spełnił te mnogie przygotowania.

— Teraz przybliż swe oko do okularu — rzekł Yesod — i staraj się oddać mi dokładnie, ze spokojem, na jaki cię stać, panoramę szczególną, której wdzięczną uwagę ci polecam.

Chesed spełnił rozkaz swego pana — i w tejże chwili krzyknął przeraźliwie.

— Masz sobie! — przegarzał się hermetysta. — Mam w ręku ołówek i notatnik... niech ci się nie zdaje, że to do zapisywania twych wrażeń osobistych. Mów, co się dzieje w tej małej okolicy ciała, poddanej badaniu twego oka!

— Ach, mistrzu! walka straszna pomiędzy armią potworów nie do opisania, które rzucają się jedne na drugie, jakby się miały pożreć wzajem. Co znaczy ten sabat piekielny?

— Najprostsze w świecie żyjątko, które wyraszcza ciało ludzkie, a które sposobią się do żeru. Oświadczyłem ci to przed chwilą w słowach do domysłu. Widzisz słuszność moich przepowiedni. Cóż, straszne są one?

— Przeróżające! Żadna wyobraźnia nie stworzy nic podobnego! Całe miliony ich!

— Gdybyśmy nadto posiadali mikrofony, tak udoskonalone, jak mikroskopy, organ słuchu pochwycałby hałas, podobny do łoskotu Waterloo, gdy prusacy spadli na starą gwardyę... Kiedyś zrobię wynalazek tego przyrządu, który wtajemniczy nas w hałasy Nieskończenie Małego.

Yesod znowu rozpoczął wrzucanie potoków magnetycznych z energią wzrastającą. Wkrótce znowu stanął w pocie. Nerwy jego, mięśnie, wola, w stanie kurczowego natężenia parły na podbój ostateczny. Nigdy jeszcze nie przedsiębrał tak olbrzymiego wysiłku; nie mówił już, nie żartował. Oczy jego, nadmiernie otwarte, utkwione były w twarz zmarłej, ręce drgające biegly wzdłuż jej policzków, szyi, piersi, dech jego chrapliwy, zdyszany, wyrwał się w odstępach rytmii-

cznych, jak dech miecha kowal-  
skiego.

Naraz rozkazał:

— Zobacz no teraz!

Chesed poszedł za rozkazem  
i oświadczył:

— Masz, mistrzu, rację. Wal-

ka uśmierzona. Widać już tylko  
ruch luźny jakby drgań człowie'a  
w agonii.

— Słusznie. Należy, by wpa-  
dły one w agonię, gdy ta oto ma  
ożyć. Wszędy tak: życie zapładnia  
śmierć i śmierć zapładnia życie,

w jednym cyklu fatalnym i wiecz-  
nym. Przenieśmy ciało na ka-  
napę wypoczynkową: muszę nabrać  
trochę sił, zanim chwila uroczysta  
wybije i będę mógł zawołać do te-  
go ciała nieruchomego:

*Lazare, exi foras!*

DCN.

Robert Hichens.

## OGRÓD ALLAHA.

16

Ostatnia ta atoli inwazyja była  
za ciężką dla wyrozumiałości poe-  
ty. Porzucił on naraz wszystek po-  
zór swego wdzięcznego spokoju  
i buchnął na Hadiego całym potokiem  
obełg arabskich, akcentowa-  
nych namiętnymi gestami, które na-  
pełniły przestrachem Zuzannę i które  
sprawiły Domini ukrytą przyjem-  
ność. Odwaga i duch porywczy  
przygód, raczej chłopięcy, niż ko-  
biecy, zawsze miały w niej żywą  
stronniczkę. Doszła do trzydziestu  
dwu lat życia bez zaświadczenia  
tego żywiołu i nawet bez pełni  
zdania sobie sprawy, jak wielce  
pragnęłaby go świadczyć. Teraz  
atoli poczyniała rozumieć to i czuć,  
iż był on władny.

— Jest we mnie dziki czło-  
wiek—pomyślała.

— Batucz!—ozwała się ostro.

Poeta zwrócił ku niej swą twarz  
wykrzywioną.

— Pani!

— Dość tego! Prowadź nas  
do domu tanecznego.

Uliczka, oświetlona lampami  
z małych domków, z których wy-  
chylały się drewniane balkony, po-  
malowane na wesołe kolory, wraz  
z rosnącym promieniowaniem księ-  
życa, była tajemnicza, mimo weso-  
łości i widocznego poświęcenia kul-  
towi uciechy. Żywy wskutek hała-  
su przejmującego muzyki ruch  
i szmer tego społeczeństwa pustyni  
był prawie uroczysty. Tłum chłop-  
ców i mężczyzn, ubranych w biel  
od stóp do głów, w żywości swej  
dawał widok wdzięku poważnego,  
obok szacownej dzikości, nastęrczał  
mieszanię anioła, mnicha i ducha  
nocnego. Na odległość promieni  
księżycowych, zwolna płynąca po  
zapyłonej drodze krokami posuwi-  
stemi, czynili wrażenie czegoś łag-  
odnego i promiennego w białości  
swej ruchomej. Bliżej śpiczaste  
ich kaptury robiły wrażenie czegoś  
mniejszego, niby jakaś procesya,  
przekradająca się od cel ustronnych  
na celebrowanie jakiejś mszy pół-  
nocnej. W zmroku cienistym ma-

łych działków alei byli oni, jak du-  
chy błądzące, które wyszły na bez-  
bożną włóczęgę, lub powracały na  
swoje cmentarze.

Na niektórych balkonach leżały  
dziewczęta umalowane i palily cy-  
garety. Przed każdymi z oświetlo-  
nych drzwi wejściowych, z których  
dochodził przenikliwy hałas muzyki,  
była zebrana, drobna, natężona  
gromadka, obserwująca przedstawie-  
nie, które odbywało się wewnątrz.  
Szaty arabsów ocierały się o suknie  
Domini i Zuzanny, a zewsząd pa-  
trzały na nich oczy z badawczością,  
która była mniej bezwstydną, więcej  
poważnie czelną.

— Pani!

Chuda ręka Hadiego ruszyła  
rękaw Domini.

— Cóż tam takiego?

— Tu jest najlepszy dom ta-  
neczny. Tu tańczą dzieci.

Wzrost Domini dał jej mo-  
żność zerknięcia ponad plecami ze-  
branej przed drzwiami gromady.  
W oświetlonej odległości komnaty  
o białych ścianach, z malowanymi  
na nich postaciami wojowników  
i wodzów arabskich, ujrzała małą,  
okręającą się figurkę pomiędzy dwo-  
ma rzędami siedzących po turecku  
mężczyzn. Ręce dziecka powiewa-  
ły kolorowymi chustkami, dwie  
drobne nożyny uderzały z werwą  
o polepę ziemną. Dalsze tło sta-  
nowiła kanapa z tłumem kobiet  
i muzykantów, których oczy zezo-  
wały i policzki gorzały. Stała tak  
przez chwilę patrząc, potem się od-  
wróciła. W oczach jej był wyraz  
niesmaku.

— Nie! nie chcę patrzeć na  
dzieci—rzekła.—To nadto...

Rzuciła okiem na swą eskortę  
i nie dokończyła.

— Ja wiem—rzekł Batucz.—  
Pani życzy sobie prawdziwych Ule-  
dów.

Poprowadził je poprzez ulicę.  
Hadi szedł, ociągając się. Zanim  
weszła do tego drugiego domu ta-  
necznego, Domini zatrzymała się  
znowu, by zobaczyć od zewnątrz,

czy jej się podoba—lecz tylko na  
chwilę. Wraz światło jakieś zapa-  
liło się w jej oczach, wejrzenie spo-  
ważniało.

— Tak jest, prowadź mnie tu-  
taj—rzekła.

Batucz zaśmiał się miękko,  
a Hadi wyrzucił jakieś słowo stłu-  
mione.

— Pani zobaczy tu Irenę—  
rzekł Batucz, rozpychając bez cere-  
monii przypatrujących się pilnie  
arabsów.

Domini nic nie odrzekła. Oczy  
jej zwróciły się ku mężczyźnie, któ-  
ry siedział w kącie odległym ko-  
mnaty, pochylony naprzód i patrzą-  
cy bacznie na kobietę, która była  
w trakcie schodzenia z wzniesionej  
estrady, przybranej w lampy i ma-  
łe wiązanki kwiatów w glinianych  
garnuszkach.

— Chcę usiąść blisko drzwi—  
szepnęła Batuczowi, kiedy weszli  
do środka.

— Kiedy lepiej, proszę pani...

— Rób, co ci mówię—rzekła.—  
Z lewej strony pokoju.

Hadi spojrział nieco różniej.  
Zuzanna uczepiła się jego ramie-  
nia. Uśmiechnął się do niej z wy-  
razem niedoli, lecz gdy część ławy  
została dla nich opróżniona, posta-  
rał się o to, by się jak najbliższej  
drzwi, i rzucił trwożne spojrzenie  
ku platformie, na której należące  
do kawiarni dziewczęta-tancerki sie-  
działy rzędem, wsparte o nagą ścia-  
nę i oczekujące swej kolei występu.  
Naraz wstrząsnął raptownie głową,  
wsunął zwyczajem swym brodę i za-  
śmiał się. Cała jego twarz prze-  
obrazila się—od tchórzowskiej oba-  
wy do żywej czelności. Śmiejąc  
się, spojrział na Batucza, który ka-  
zał przynieść murzynowi służącemu  
cztery filiżanki kawy. Poeta nie  
zwracał na niego uwagi. Na chwi-  
lę był zajęty swymi obowiązkami  
z urzędu. Lecz kiedy kawa została  
już przyniesiona i postawiona na  
okrągłym drewnianym stolku po-  
między wiązankami róż, miał czas  
zauważyć raptowną wesołość Ha-

diego i skutecznie swój zamiar. Naraz oto zagadał do murzyna niskim głosem. Hadi przestał śmiać się. Murzyn odszedł pośpiesznie i powrócił z gospodarzem kawiarni, ogromnym kabylem z piękną cerą i niebieskimi oczyma.

Batucz zniżył swój głos do szeptu gardłowego i zagadał po arabsku, podczas gdy Hadi, siedząc nieporęcznie na końcu ławki, rzucał ku niemu ukośne spojrzenia swych o kształcie migdałów oczu. Domini usłyszała imię „Irena“ i domyśliła się, że Batucz żąda od kabyla, by posłał po nią i kazał jej zatańczyć. Nie mogła się powstrzymać, by nie zabawić się przez chwilę tą komedią intrygi, zadośćczynnie złośliwą ze stron obu, która została odegrana przez dwu krewnych, lecz moment minął i następny większy pochłonął ją całkowicie, podając jej nowość otoczenia, oryginalność kobiet, ich ubrań i ich ruchów.

Tuż koło wzniesienia komnaty z prawej strony siedział cudzoziemiec pośrodku tłumu arabów, których powiewne szaty prawie zakrywały jego brzydkie europejskie ubranie. Na ścianie tuż za nim było o jaskrawych barwach malowidło tłustej Uledy Naili, wdzięczącej się do francuskiego żołdaka. Tworzyło ono całkiem nieodpowiednie tło dla jego pochylonej postaci i spalonego słońcem lica, w którym obecnie zdawało się, iż jest dwojgo: ascetyzm i coś tak odmiennego i tak przewładnego, iż to wtóre, zdało się, lada chwilę odzennie ascetyzm i osiągnie samotną wszechwładzę rzeczy. To pasowanie się wyrazu przypominało Domini pewien obraz, który kiedyś widziała, a który wyobrażał pielgrzyma, idącego przez ciemny las w towarzystwie anioła i dyabła. W patrzącym tym cudzoziemcu zły duch odpłoszył obecnie napewno anioła. Domini zdawało się, iż nigdy dotąd tak jasno nie widziała walki legendowej ludzkiego serca. Bowiem nigdy dotąd tak śmiało nie odbiła się ona przed nią w ludzkich rysach.

Wokół siedzieli arabowie, bez ruchu i zadowoleni, patrzący na ciekawy taniec, który ich nigdy nie nużył—taniec, który miał nieco naiwnej prostoty, wiele zmysłowości i wyzwania, lecz mało piękna i mało tajemnicza, chyba, że—jak się tu i owdzie zdarzało—podobna do boginki kobieta Południa, ze wszystką tajemnicą odległej pustyni w swych podczernionych oczach, tańczyła go z tłumionym ogniem półobudzonego sfinksa, czyniąc z niego zjaw barbarzyński natury, która spoczy-

wała ukryta w sercu słońca,—krzyknął milczącym dzikiego ciała, urodzonego w dzikim, znojnym kraju.

W kawiarni Tahara, kabyla, nie było obecnie takiej kobiety. Piękności jego, stłoczone na wąskiej ławie przed stołem, przybranym w szklanki z wodą i pączki kwiatu pomarańczowego w glinianych naczyniach, wyglądały smutno i nie zabawnie w swych jaskrawych ubraniach. Ciała ich były dobrze zbudowane, lecz senne, ospałe. Umalowane ich ręce zwisały, jak ręce marynetek. Ta, która tańczyła, wyglądała jak pańszczyzna, przybrana we wschodnie szaty i siłająca się bardzo pieczołowicie, by się okazać zepsutą. Drgawki jej i skurcze, jakkolwiek gwałtowne, były nie ludzkie, podobne raczej do skomplikowanej sztuki mechanizmu, sporządzonego przez chorego mechanika. Spojrzawszy na nią raz czy dwa, Domini czuła, że tańcząca jest znudzona swą własną ruchliwością. Podziw atoli Domini wzmógł się, gdy znowu spojrzała na cudzoziemca.

Tańcząca upatrzyła go sobie—i oto, zwolna kołysząc się, poczęła postępować ku niemu między rzędami arabów, utkwivszy w niego oczy i układając swe czerwone usta do łakomego uśmiechu. Gdy już zbliżyła się ku niemu, poczęła jasno okazywać, iż on był jej celem. Cudzoziemiec był wychylony naprzód, lecz gdy się ona przybliżyła, powiewając czerwonymi rękoma, wstrząsając wydatnymi piersiami i powodując gwałtowne drgania brzucha, siadł prosto i wparł się szczerze w ścianę, zakrywając sobą wizerunek Uledy Naili i francuskiego żołdaka. Ciemny rumieniec wypłynął na jego lice i zalał mu nawet czoło aż do włosów. Oczy jego stały się pełne żalostnego niepokoju i zakłopotania; patrzył prawie, jak winowajca, na prawo i na lewo, jakby w oczekiwaniu, że zakapturzeni widzowie arabscy potępiają jego obecność, teraz, gdy tancerka zwróciła ich uwagę na to. Tancerka zauważyła jego pomieszenie i zdała się być z tego zadowolona, gdyż poczęła energiczniejszy pokaz całej swojej sztuki. Wzniósł rękę nad głowę, w pół przymknęła oczy, przybrała wyraz pożądliwej ekstazy i zlekka zadygotała. Zatem, przeginając się w tył, prawie że dotknęła podłogi, zatoczyła w tym ruchu koło, wciąż przegięta, i okazała całe wzdłuż wygięcie swego nagiętego łona cudzoziemcowi, podczas gdy dziewczęta, stłoczone na ławce obok muzykantów, naraz porwały się i złączyły swe głosy w długim i przeciągłym chichocie. Arabowie nie uśmiechali się, lecz głębia ich

uwagi zdała się urastać, jak chmura, czarno wzbierająca. Wszystkie płonące oczy w tej izbie były utkwione w mężczyznę, odchyłonego w tył ku ohydному malowidłu na ścianie, i w jaskrawą syrenę, gnącą się przed nim, jak łuk. Muzykanci zadęli w oboje i uderzyli gwałtowniej w tamtamy, i wszystko w izbie napelnio się—jak to Domini pomyślała—jakąś treścią porywu rosnącego. Uczuła, jak gdyby izba, wszystkie nieożywione przedmioty i postaci ożywione w niej stały się instrumentami orkiestry i jak gdyby każdy pojedynczy instrument przyłożył się do wolnego, wielkiego, nieodbitego crescendo. Cudzoziemiec wziął udział wraz z rzęstą, lecz przeciw swej woli i jak gdyby pod strasznym naciskiem.

Lico jego znów spurpurowiało i oczy jego błyszczące patrzyły wdół na piersi tancerki i jej ton z mieszaniną i żądy i grozy. Ona zwolna uniosła się, obróciła, przegięła się naprzód drgająca i ukazała mu swe lice, podczas gdy dziewczęta znowu wybuchnęły zgodną, dzwięczną pobudką. On patrzył wciąż na nią bez ruchu. Oboiści przytrwali na długiej, tęsknej nucie i tamtamy uderzyły w dziki i ponury werbel, prawie jak w werbel przedzgonny.

—Ona chce, żeby on dał jej pieniądze—rzekł zszepem Batucz do Domini.—Dlaczegoż on jej nie daje?

Widocznie cudzoziemiec nie rozumiał, czego ona żądała od niego. Muzyka znów przeszła na tony krzykliwe, tancerka cofnęła się, postąpiła kilka kroków, zadygotała w ściekłością brzuchem i tupnęła nogą w podłogę. Potem raz jeszcze zwolna drgać poczęła, przymknęła w pół oczy, podpełza bliżej ku cudzoziemcowi i, upadłszy przed nim, złożyła mu rezolutnie głowę na kolanach, gdy dziewczęta znów się ozwały pobudką i długa nuta obojów przeszła przez izbę, jak okrzyk pytający.

DCN.

#### TREŚĆ NUMERU 16-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*  
W gabinecie. *Włodz. Perzyński.*  
Próba wskrzeszenia. *de Larmandie.*  
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYJI I ADMINISTRACYJI:  
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:  
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie